

## HOOK

Dziesiąte urodziny Petera były wydarzeniem, którym żyło całe królestwo. Młodszy syn króla Erica był oczkiem w głowie tatusia; ten był w stanie przychylić Peterowi nieba. Spełniał wszystkie jego zachcianki, a tak równa rocznica była idealnym powodem, by zaprosić okolicznych władców i urządzić przyjęcie, o którym będzie się mówiło przez lata.

Z drugiej strony, starszy syn króla, James, ledwo pamiętał swoje dziesiąte urodziny. Chyba dostał wtedy tort. I pozwolenie, by uczyć się żeglugi u królewskich marynarzy, co do tej pory uważał za jedną z lepszych rzeczy, jakie przydarzyły mu się w życiu.

James, lub jak na niego mówił Peter – Jas, nigdy nie zazdrościł młodszemu bratu zainteresowania i miłości, jaką darzył go ojciec. Tak jak on kochał tego słodkiego, jasnowłosego dzieciaka o zielonych oczach odziedziczonych po matce. To wszystko, co po niej zostało, więc Jas mógł zrozumieć, dlaczego jego król ojciec wolał patrzeć na Petera, a nie na starszego, czarnowłosego Jamesa, będącego dokładną kopią starzejącego się władcy.

Z tego też powodu, bez opieki matki i przy minimalnym zainteresowaniu ojca, Jas wyrastał na samodzielnego chłopca, o lekko melancholijnym, ale twardym charakterze. Natomiast Peter zachowywał się tak, jakby nigdy nie miał dorosnąć. I, prawdę mówiąc, nie musiał. Kiedy czegoś chciał, po prostu to dostawał. Zawsze. Tak było również podczas jego dziesiątych urodzin.

Gdy doszło do rozdawania prezentów, jasnowłosy chłopiec ledwo był widoczny zza sterty pakunków przywiezionych ze wszystkich stron świata. Przybyli Indianie, marynarze, chłopcy, a nawet syreny, które rzadko opuszczały swoją spokojną zatokę. Przywieźli kosztowne i rzadkie dary, jednak wszystkich przyćmił król Eric, który skinął dłonią w stronę jednego z szambelanów. Ten zniknął za drzwiami i po chwili wprowadził do sali tronowej olbrzymie zwierzę. Kiedy James przyjrzał się bestii dokładniej, odkrył, że był to po prostu bardzo duży pies. Olbrzymi, jeśli przyjąć, że był dopiero szczeniakiem. Jas przysunął się do Petera, który przeniósł wzrok z brata na psa i z powrotem.

- Wyrośnie z niego wielkie bydlę – powiedział wysokim głosem, przytulając się mocno.
- Zobacz, jaki jest duży. I te zęby!
- Już teraz szczyrzy się jak krokodyl – mruknął starszy chłopiec, podobnie jak Peter wpatrując się w ostre zębiska.
- Krokodyl! – pisnął Peter. – Jakie wspaniałe imię! Mogę go tak nazwać? Mogę, mogę?

Usłyszeli pełen zadowolenia śmiech ojca, szczęśliwego z wrażenia, jakie udało mu się zrobić tym prezentem.

– Jasne. – Jas pogłaskał brata po jasnych włosach. Peter był w końcu słodkim, uroczym dzieciakiem o niewinnym spojrzeniu i dołeczkach w policzkach, które pojawiały się zawsze, gdy się uśmiechał. Trudno było odmówić mu czegokolwiek i właśnie dlatego był rozpieszczany przez wszystkich do granic możliwości. – Dla ciebie wszystko, braciszku.

\*\*\*

„Patrząc z dystansu, nikt nie zwrócił uwagi na to, że wspomniana granica możliwości przesuwiała się dosyć szybko, wraz z kolejnymi prośbami, jakie wysuwał Peter” – pomyślał wysoki, szczupły mężczyzna, stukając w klawisze fortepianu posrebrzonym hakiem, przytwierdzonym do kikuta prawej dłoni. „Trzeba było trzymać cholernego smarkacza krótko, tak jak i jego piekielnego psa. Wtedy to wszystko nie miałoby miejsca”.

Tak, od tego czasu wiele się zmieniło. Król Eric nie żył i po krainie krążyły plotki, że został zamordowany. James był pewien, że są prawdziwe, ponieważ znał sprawcę. Po śmierci ojca doszło do rozłamu i wojny domowej ponieważ – jakżeby inaczej – Peter, który zawsze dostawał wszystko czego chciał, zażądał również tronu. Jas nawet by mu go oddał, nie zależało mu na władzy jako takiej, ale postawił się młodziakowi. Miał pełne prawo do władzy nad dominium ojca, a ponadto Peter nie nadawał się na króla. James nie powierzyłby mu opieki nawet nad kanarkiem, a co dopiero nad ludźmi w państwie. Nastoletni już brat był niezrównoważony, niebezpieczny dla siebie i innych, i podążało za nim widmo śmierci. Jedyną istotą, która z nim wytrzymała, to ten cholerny Krokodyl, który wyrósł na wielkie bydlę i z jakiegoś powodu nie chciał umrzeć, choć James życzył mu tego każdego dnia, gdy tylko się przebudził. I w sumie za każdym razem, gdy jego wzrok padał na zakrzywiony kawałek metalu, który zastępował mu dłoń.

Po rozpoczęciu walk o tron część wojska lądowego i właściwie wszyscy marynarze stanęli murem za Jasem. Ten czuł się bezpieczniej na wodzie, gdzie mógł kontrolować nadchodzących wrogów, więc przeniósł swoje centrum dowodzenia na statek flagowy o dźwięcznym imieniu Hook. Natomiast Peter z gromadą dezertersów zwanych Straconymi Chłopcami, częścią wojsk lądowych oraz uwolnionymi z więzienia zamkowego przestępcami zaszył się w gęstych i olbrzymich lasach, siejąc terror i robiąc partyzanckie wypady, które pustoszyły wsie zaopatrujące wojska prawowitego władcy wyspy.

Obaj wynieśli się z niewielkiego zamku, za dobrze znając jego słabości, by czuć się w nim pewnie podczas walk.

Od tej pory nad królestwem zawisło tylko jedno, za to dosyć ważne pytanie: kto kogo zabije pierwszy?

Do drzwi kajuty ktoś zapukał, przerywając rozmyślenia Jamesa.

– Kapitanie, obiad! – zawołał jeden z jego ludzi. Kiedy drzwi otworzyły się, talerz z parującym jedzeniem wniósł jeden z rekrutów, niedawno przybyłych na statek.

– Postaw na stole. Dziękuję. – Jas wstał od fortepianu. Muzyka go uspokajała.

Kiedy młodzieniec opuścił kajutę, kapitan podszedł do szafki i wyciągnął niewielką buteleczkę. Potrząsnął nią, a złoty proszek zamigotał w półcieniu jego gabinetu.

Muzyka go uspokajała, ale jeszcze bardziej spożywanie posiłków dobrze posypanych proszkiem od wrózek. Nic tak nie niwelowało wszelkich trucizn, a kapitan nie ufał nikomu poza sobą. Otworzył flakonik i podszedł do stołu.

Smacznego, James. Dziękuję, James.

\*\*\*

– Nic z tego nie będzie – powiedział mężczyzna zajmujący się podawaniem posiłków księcia Jasa przez ostatni tydzień. – Ma żołądek ze stali albo w ogóle nie potrzebuje jedzenia i wyrzuca je przez okno.

Peter, rozwalający się do tej pory na olbrzymim hamaku usiadł, spuszczać długie nogi na ziemię. Rozchełstana, zielonkawa koszula odsłoniła kawałek idealnie zbudowanego ciała. Podrapał się po brzuchu i podniósł na swojego człowieka spojrzenie wielkich, zielonych oczu.

– Istnieje jeszcze trzecia opcja: mój brat nie jest idiotą i spodziewa się, że ktoś go zechce otruć. Są różne sposoby na odtrucie. Magia wrózek, różne rośliny... – powiedział. – Dobrze, że wróciłeś, Wendel, wymyślimy coś innego.

Wendel milczał. Razem z dwoma braćmi, Michaelem i Johnem, znani byli na wyspie jako najlepsi skrytobójcy w historii. Pochlebiał im fakt, że sam książę postanowił ich zatrudnić, i byli pewni, że jakieś wypieszczone, jednorękie książątko nie sprawi im większego problemu. Natomiast książę James, kapitan statku Hook, był prawdziwym wrzodem na dupie, każdego dnia niszczącym ich starannie wyrobioną reputację, bo za żadne skarby świata nie chciał zdechnąć. Dodatkowo Peter zamierzał im hojnie zapłacić, niestety, dopiero po wykonaniu zadania. Przez ostatni miesiąc próbowali zabić starszego brata pracodawcy

przynajmniej kilkanaście razy, na różne sposoby, i prawdę mówiąc, już stracili rachubę, ile razy zawiedli.

Wendel spojrział na Johna, najmądrzejszego z nich, który zawsze odpowiadał za wymyślenie sposobu na wyprawienie kogoś na drugą stronę.

– Wszelkie trutki odpadają – mruzczał John, drapiąc się po głowie. – Na łąd prawie w ogóle nie schodzi, a jeśli już, ma silną i dobrze przygotowaną eskortę, do której nie może dołączyć nikt nowy. Jego ludzie są nieprzekupni tak bardzo, że to aż boli. Nie udało się go ani powiesić, ani utopić, ani podpalić.

– Wysadźmy jego okręt w powietrze – odezwał się najmłodszy z nich, Michael, spec od materiałów wybuchowych. John i Wendel zignorowali go. Przy każdej akcji Misiek mówił: „Wysadźmy to”, dlatego przestali na niego zwracać uwagę. Natomiast księżę Peter wyraźnie zainteresował się tym pomysłem.

– Co?

– Jak nie możemy zamordować go jako jednostki, wysadźmy cały statek w powietrze. Musimy tylko mieć pewność, że jest na pokładzie.

– To jest myśl... – zaczął Peter.

– Do wysadzenia tego olbrzyma potrzebne jest sporo prochu. Ten, który znajduje się na okręcie, jest szczelnie zamknięty w magazynie i pilnowany przez kilku osiłków, którzy są nieco tępi, ale na pewno nie ślepi – zaprotestował John. – I musielibyśmy zamontować materiały nisko, żeby szybko zatonął. Jak niby mamy przetransportować tam proch i rozłożyć go po całym pokładzie tak, żeby nikt nie zauważył? Musielibyśmy to zrobić pod powierzchnią wo...

– Syreny – mruknął Michael, drapiąc się po tatuażu przedstawiającym pluszowego misia z odpaloną bombą. – Są totalnie zakochane w obecnym tu księciu, oddane mu bezgranicznie i przemieszczają się niezauważalnie dla ludzkiego oka. Jeśli tylko zapakujemy bomby, proch, dynamit, wszystko jedno, w wodoodporne opakowania i wymyślimy jakieś zgrabne zaczepy na kadłub, nie powinno być z tym problemu. Potrzebny nam jest plan statku, żeby proch przyniesiony przez nas odpalił przy okazji ten znajdujący się w magazynach Hooka.

– Genialne! – Księżę Peter zerwał się z hamaka. – Wy trzej, idziemy!

– Co? Dokąd? – John poprawił okulary i zamknął notes.

– Dokąd, dokąd. A jak myślisz, idioto? Do Zatoki Syren.

\*\*\*

Laguna, do której zmierzali mężczyźni, była najpiękniejszym miejscem na ziemi. Dla Petera był to prawdziwy raj, ponieważ spędził tutaj sporo czasu swojej krótkiej, acz intensywnej młodości, kiedy nie miał jeszcze żadnych problemów. Syreny, zwykle ukrywające się przed mieszkańcami wyspy, miały wyjątkową słabość do młodego księcia, więc zawsze witały go z prawdziwą radością.

– Poczekaście tutaj – powiedział Peter, wskazując swoim towarzyszom miejsce za skałą.  
– Dalej pójdę sam.

– Ale... – jęknął Wendel, mający ochotę na bliższe przyjrzenie się słynącym z piękności wodnym kobietom.

– Naprawdę zamierzasz ze mną dyskutować? – warknął książę.

Trzej zabójcy bez słowa usiedli na ziemi, a zielonooki chłopak ruszył w dół po stromych schodkach.

Gdy dotarł nad ciemną taflę, było tam zupełnie pusto. Drzewa szumiały, woda spływała z niewielkiego wodospadu do głębokiego, granatowo-zielonego jeziora. Później rozległ się ledwo słyszalny gwizd i zaczęły wynurzać się postacie o długich, kolorowych włosach.

– Peter!

– Och, Peter!

– Dołącz do nas!

– Chodź się pobawić! – rozległy się rozchichotane, wysokie głosy.

Peter ściągnął wysokie buty i wsunął stopy do wody.

– Nie dzisiaj, kochane – zawołał z uśmiechem. – Dziś jestem tu tylko w interesach. Słuchajcie...

Książę tłumaczył, syreny słuchały uważnie, przytakując, a w krzakach na wzgórzu leżała postać o ciemnej skórze i zmrużonych oczach, by nie zdradzić miejsca swojego położenia. Wycofała się dopiero wtedy, gdy książę Peter już dawno zniknął z widoku, a syreny powróciły do domu w głębinach.

\*\*\*

Wypłowiwała miejscami mewa wylądowała na relingu, kiedy Jas zakładał długi, czerwony płaszcz. Zawsze powtarzał, że żołnierze muszą dokładnie wiedzieć, gdzie znajduje się ich dowódca. A płaszcz z kolorystycznie dopasowanym kapeluszem o szerokim rondzie rzucał się w oczy z naprawdę daleka.

Ten kapitański strój miał jednak i drugie dno. Długie i szerokie rękawy skrywały okazały pakiet ostrzy, w kieszeniach tkwiła broń palna, a wewnętrzna kieszonka na piersi świetnie mieściła poręczną, metalową flaszeczkę. Warto wspomnieć, że kapelusz też nie bez powodu miał sztywne i szerokie rondo.

Ptak dźwięknął dwa razy, przestępując z nóżki na nóżkę i zeskoczył na pokład, a potem spokojnie wparadował do gabinetu kapitana. Na szczęście lądowanie mewy na statku nie było niczym nadzwyczajnym – a wróg nie śpi – więc gdy jedno z wyrosniętych białych ptaszysk znalazło się w kajucie Jasa, nikt nie zwrócił na to uwagi. No, prawie nikt.

– Mirabelka! – ucieszył się wyraźnie kapitan. Mewa zaskrzeczała, próbując strząsnąć z nogi niewielki rulonik. James szybko odczepił karteczkę, dał ptakowi kawałek mięsa i dopiero kiedy tamten odleciał, powoli rozwinął rulonik. Na szarym papierze widniały tylko dwa słowa: „Porwij mnie”.

Jas westchnął, wstał i wyjrzał przez niewielkie okno. Niedaleko stało dwóch jego zaufanych kompanów.

– Mullins, Smee, porywamy księżniczkę – powiedział spokojnie. – Tym razem na pewno uda nam się przejąć tereny Indian.

– Znowu? – jęknął ktoś.

James zamknął okienko. Wersja oficjalna zawsze była nudna. Wersji nieoficjalnej nikt nie musiał znać. Były powody, dla których warto było uchodzić za nieudolnego, wielokrotnego porywacza i totalnego pechowca bez ręki. Tygrysia Lilia zdecydowanie była jednym z nich.

\*\*\*

Trzeba jej było przyznać, że kiedy krzyczała, robiła to z wielkim uczuciem, a i gryzienie też wychodziło jej całkiem, całkiem. To, że do tej pory nikt nie zorientował się w ich małym, dwuosobowym teatryku, James wiązał z faktem, że ludzie nie byli jednak specjalnie bystrzy, a może po prostu nie chcieli wiedzieć. Natomiast Jas i Lilia nie zamierzali nikogo krzywdzić, dlatego porywał ją tylko na umówiony wcześniej sygnał, kiedy była sama i daleko od wojowników Wielkiego Wodza, którzy walczyliby o jej cześć i życie. A potem, no cóż, zwykle uciekała, z tonącej skały, płonącej łódki albo innego miejsca, które wcześniej wybrali. Dzisiaj to miała być Jaskinia Piratów, miejsce równie dobre jak każde inne, jednak tak na twarzy Jasa jak i Tygryskiej Lilii niezmiennie wywoływało gorący i czerwony rumieniec na twarzy.

– Zamierzają wysadzić twój statek – powiedziała śliczna Indianka, kiedy niedoszły władca Nigdylandii odesłał swoich ludzi, by przesłuchać i podręczyć dziewczynę na osobności. Dzisiaj mieli trochę więcej czasu, a i miejsce ciemne i pełne zakamarków nadawało się do tego, by marynarze usłyszeli echa jej krzyków. – Wykorzystają do tego syreny. Za dwa, góra trzy dni, zależy ile czasu zajmie im przygotowanie materiałów.

Jas przez chwilę siedział w ciszy, gryząc dolną wargę i myśląc intensywnie. Lilia przyglądała mu się z wyraźnym zainteresowaniem. Jednocześnie powoli rozwiązywała liczne sznurki trzymające jej odzież na miejscu.

– No trudno – powiedział w końcu cicho, kiedy w głowie pojawił mu się nieco diaboliczny plan. – Będę się musiał przeprowadzić na ląd, ale to może być jedyny sposób, by wreszcie wykończyć gnojka.

– Zamierzasz opuścić pływającą fortecę? – zdumiała się Tygrysia Lilia. – To szaleństwo.

James westchnął, na poły z żalu, że przez swojego niezdolnego brata będzie musiał zostawić ukochany statek, jednak głównie z powodu tego, co malowało się przed jego oczami. Od kiedy po raz pierwszy dojrzał dziewczynę na łowach, kompletnie stracił dla niej głowę, a i Tygrysia Lilia nie pozostała długo dumna i nieugięta. Mmm...

– Zamierzam przenieść się do Krainy Wiecznych Łowów – potwierdził, jednym ruchem ściągając koszulę. – Ale wrócę.

\*\*\*

Nocny wybuch słyszano z daleka. Huk poniósł się po całej Nigdylandii, a lunę ze strzelającego wysoko ognia, trawiącego jasne żagle i twarde drewno flagowego okrętu królestwa, dojrzeli wszyscy mieszkańcy krainy.

To był piękny dzień dla wielu, jednak przede wszystkim cieszyli się Peter, gdy rankiem znalazł na plaży mokry i lekko nadpalony czerwony kapelusz, w którym dumnie paradował, oraz Wendel, John i Peter, nagle najbogatsi ludzie na wyspie.

Zwyciężyli. W końcu.

\*\*\*

Jas, ubrany w brązowe, chłopskie łachy, z jednego ze wzgórz patrzył na dogasające na wodzie zgliszcza. Koło niego i w lesie nieopodal, przebrani w wioskowe ciuchy, siedzieli

marynarze z nieszczęśliwymi minami. Pachniało zielonym, nie bujało i nie mieli żadnych lin. To nie był ich dom, a na dodatek nie rozumieli, dlaczego zamiast bronić statku uciekli z niego pod osłoną nocy.

– Jas... – zaczął jeden z nich, pamiętający księcia jeszcze jako nieporadnego i rozkrzyczanego dzieciaka.

Księżę odwrócił się do swoich ludzi. Mimo stroju jego postać promieniowała siłą i pewnością siebie. Może nawet bardziej niż zwykle. Na moment jego wzrok spoczął na kilku wozach wypakowanych belami materiału. Chłopcy będą mieli przed sobą trochę szycia i farbowania, ale była szansa, że po wieloletnim cerowaniu żagli jakoś to ogarną.

– Zbierz ludzi – odezwał się w końcu. – Znajdź bezpieczne miejsce. Mam kilka rzeczy do przekazania. I nie mów do mnie Jas. – Przeniósł po raz ostatni wzrok na wrak płonącego okrętu. – Od teraz wszyscy mówcie mi Hook. Kapitan Hook.

\*\*\*

Nad zamkiem ciążyła klątwa. Do takich wniosków dosyć szybko doszli wszyscy żołnierze czekającego na koronację księcia Petera. Miało to między innymi związek z fragmentami czerwonego materiału, pojawiającego się w najmniej oczekiwanych porach i w najdziwniejszych miejscach w zamku. Mury szeptały imię Jamesa, w kuchni kwaśniało świeże mleko, a kury piały w środku nocy. Na dodatek jeden po drugim znikali ludzie, którzy przyczynili się do finalnego przejścia władzy przez młodego Petera. Ten ostatni nie przejmował się niczym, wiodąc życie bezproblemowe, radosne i rozpustne, rzadko trzeźwiąc na dłużej niż kilka godzin i nie interesując się niczym, co nie dotyczyło bezpośrednio jego osoby.

Kiedy jednak zniknął Bombowy Michael, poważna rozmowa z przyszłym królem wydała się niezbędną. Gdy Wendel dotarł pod drzwi komnaty księcia, drogę zagroziło mu dwóch tępawych, ale za to wyrośniętych byczków.

– Przejścia nie ma – powiedział pierwszy.

– Pan Peter nie życzy sobie żadnych gości – dodał drugi. Zza drzwi dało się słyszeć śmiechy i brzęk szkła. – Zajęty jest.

– Właśnie słyszę – warknął Wendel. – Ale mam sprawę niecierpiącą zwłoki!

– Zwłoki? – zainteresował się pierwszy. – Jak chcesz, to mogą być zwłoki. Twoje. A teraz spływaj.



Wendel klócił się jeszcze przez chwilę, ale nie był bokserem, tylko skrytobójcą, i kiedy stwierdził, że jeszcze jedno wypowiedziane zdanie i przeklepią mu facjatę, postanowił się wycofać. Odwrócił się na pięcie i skręcił w najbliższy korytarz, pomrukując gniewnie:

– Jeszcze zobaczycie! Nikt nie lekceważy...

Nie dokończył, zdławiony zgrabną pętlą zarzuconą mu na szyję. Poczuł tylko ucisk, a potem jego stopy oderwały się od kamiennej podłogi, gdy ktoś kilkoma sprawnymi ruchami podciągnął go pod sufit.

– Kogo my tu mamy? – usłyszał jeszcze przy uchu, zanim stracił przytomność.

\*\*\*

Stacjonująca na zamku armia Petera zmniejszyła się prawie o połowę, zanim ten w końcu zauważył, że rzeczywiście coś jest nie tak. Nie musiał się zresztą specjalnie długo głowić nad powodem tych zniknięć albo cichej dezercji, bo dwa dni później znalazł na łóżku kapelusz z dużym, czerwonym rondem. Pióro, które zwykle tkwiło za otokiem, leżało na kartce, na której ktoś zamaszystym pismem zanotował: *Niedziela. Dolina Totemów*.

Peter zaklął, nie musząc nawet patrzeć na widniejący na dole podpis. Dobrze wiedział, że w rogu kartki będzie widniało przeklęte, widowiskowo zdobne „J”.

– Wendeeeeeeel! – wydarł się, a kiedy nikt nie reagował, ruszył na poszukiwanie swoich niesławnych skrytobójców. – Michaaaaaeeeeel! Jooooohn! – wył, rozpychając zaskoczonych strażników. – I na co się gapicie, idioci?! Szukać ich!

\*\*\*

Wendel, Michael i John siedzieli pod ścianą, powiązani w ciasne pęczki i spoglądali na siebie ponuro. Dali się podejść jak kompletni debiutanci i to przez kogo? Przez jakiegoś dzieciaka, który ledwo skończył dwadzieścia wiosen i wychował się w ciepłe i bezpieczeństwie za zamkowymi murami.

Tak im się przynajmniej wydawało, dopóki księżę James nie wszedł do zacienionego pomieszczenia.

– Panowie... – zaczął, po czym wyciągnął z kieszeni niewielkie krzesiwo i spokojnie zaczął ostrzyć hak. – Wygląda na to, że szale się nieco przechyliły. Mówię oczywiście o mnie i moim bracie, wy jesteście tylko ofiarami, które znalazły się w samym środku tego nieprzyjemnego burdelu. Nawet bym was wypuścił... – przerwał na chwilę ostrzenie – ale

jesteście przecież zawodowcami. Nawet gdybym zapłacił wam za zabicie Petera i udałoby się wam to zrobić, to potem wrócilibyście po moją głowę. Już palicho, że wam za nią zapłacono, ale wasza zawodowa duma by na tym ucierpiała, prawda? W końcu jak śmiem chodzić po tej ziemi, gdy byłem już trupem? Rozumiem, reputacja, trzeba o nią dbać... – zamyślił się. – Obawiam się, że nie mogę na to pozwolić.

Odwrócił się w stronę pilnujących wejścia marynarzy.

– Jukes, Mullins. Zabierzcie ich do przymiarki. Jeszcze mi się przydadzą. Żywi. Okaze się, jak długo.

– Nie, zaraz... – zaprotestował nagle John, najszybciej orientując się w znaczeniu przemowy. Hook odwrócił się i z całej siły przyłożył mu lewą ręką w twarz. Bombowy Michael pisnął przestraszony, gdy głowa Johna poleciała w tył i z głuchym odgłosem uderzyła o ścianę.

Księżę James westchnął.

– No dobrze. Tych dwóch zabierzcie, a tego spróbujcie ocucić i zobaczcie, czy do czegoś się jeszcze nadaje – powiedział. – Naprawdę, musimy szybko wrócić na wodę, bo strasznie puszczają mi tu nerwy...

Wyszedł, kręcąc głową i zamiatając długim płaszczem po kamiennych schodkach. Marynarze popatrzyli po więźniach.

– To nie jest wasz najlepszy dzień – zauważył w końcu jeden, chwytając protestującego Wendela za kłapy i wyciągnął go z piwniczki.

– Oj – pisnął jeszcze raz Michael, kiedy drugi z marynarzy stanął nad nim, zasłaniając potężnymi barami resztę światła.

\*\*\*

Hook stał nad rozłożoną na pniu mapą Doliny Totemów i jej najbliższych okolic, i naprawdę miał nadzieję, że przynajmniej wygląda na człowieka, który wie, co robi.

Prawda była taka, że nie tylko jego ludzie czuli się nieswojo bez twardego pokładu pod stopami, a i strategia była zupełnie inna niż: ostrzał, abordaż, zwycięstwo. No, w dużym skrócie. Tutaj miał pod sobą trochę wieśniaków, fragment wojska po ojcu i wiernych marynarzy, którzy może i nadawali się do walki, ale raczej w portowych knajpach niż na polu bitwy, gdzie powiewały proporce i trzeba było ustawiać się w zwartych szeregach. Gdyby całość odbywała się w niewielkim, ciemnym pomieszczeniu, a bronią było wszystko, od butelek po krzesła, Jas martwiłby się o wiele mniej. Przykro przyznać, ale nawet księżę

Nigdylandii całkiem nieźle radził sobie w karczemnych i ulicznych bójkach, co budziło zachwyty jego podkomendnych. Dorobił się nawet na tyle złej sławy, że gdy w czasie pokoju schodził z przyjaciółmi z okrętu, sam widok jego haka wypraszał co bardziej podejrzanego indywidua.

Teraz jednak stał schowany za wzgórzem oddzielającym go od miejsca umówionego starcia i nanosił ostatnie poprawki na mapę. Większość jego ludzi była już porozstawiana na pozycjach, a przy Hooku zostali tylko najbardziej zaufani marynarze: pierwszy oficer Bartholomew Quingley Smeethington, zwany przez wszystkich Smee, Bill „Pięć” Jukes i Po Prostu Mullins.

Nie mieli przewagi liczebnej. Może gdyby udało się namówić obserwujących sytuację z pewnej odległości Indian, szala zwycięstwa przechyliłaby się na stronę Hooka, ale czerwonoskórzy jak zwykle nie zamierzali wdawać się w nie swoje wojny. Tygryś Lilia rozsądnie milczała, wiedząc, że i tak nic by nie osiągnęła. Zresztą gdyby Jas nie umiał poskromić rozbrykanego młodszego brata, nie byłaby nim zainteresowana. Duma kobieca to straszna rzecz.

Tak więc ludzie księcia Jamesa nie mieli przewagi liczebnej. Nie potrafili również grać tak nieczysto jak Peter. Ale Jas uczył się szybko, poza tym zamierzał wykorzystać to, czego jego brat nie posiadał.

Mózg.

– Smee – powiedział w końcu Hook, odkładając na mapę kapelusz. – Zaczynamy.

\*\*\*

Księżę James pojawił się nagle na najwyższym wzgórzu w okolicy, w powiewającym na wietrze płaszczu i kapeluszu z olbrzymim rondem. Nie dało się go nie zauważyć, nawet ze sporej odległości. A potem zaczął biec w dół wzgórza, wrzeszcząc potężnie i wymachując rękami.

Peter podniósł dłonie do ust i zaczął krzyczeć w stronę szarżującej na nich i zbliżającej się wciąż postaci:

– Twój czas dobiegł końca! To koniec! Koniec! Wybiła twoja godzina!! Strzelać! – zawołał, pokazując w stronę biegnącej postaci w czerwieni. – Strzelać, aż go podziurawicie na wylot!

Łucznikom nie trzeba było dwa razy powtarzać. Pierwsza seria strzał poleciała w tamtym kierunku. Książę James zawrócił nagle, widząc, co się dzieje, i zaczął gnać w odwrotną niż do tej pory stronę.

– Hej, czy to nie... – usłyszał niepewny głos książę Peter i popatrzył na to, co pokazywał jeden z jego żołnierzy. Na drugim ze wzgórz, które okalały Dolinę Totemów, jego ubrany w czerwony płaszcz brat szarpał się z jakimś człowiekiem, a potem nagle rzucił się w kierunku, gdzie stacjonowały wojska Petera.

– Książę! – inny głos odezwał się nagle. – Tam!

Peter zaskoczony i rozeźlony zaczął rozglądać się po okolicy, gdzie zaroilo się od czerwonych płaszczy i kapeluszy. Jego brat, a raczej cała drużyna jego braci, biegła w wyraźnej panice, nie wiedząc, co ma ze sobą zrobić. Było ich wszędzie pełno.

– Co do chole...

– Tik-tak – usłyszał szept przy uchu, a potem zapadła ciemność.

\*\*\*

Jas uczył się szybko, poza tym zamierzał wykorzystać to, czego jego brat nie posiadał: Mózg. No dobrze. Mózg i odrobinę magii. Nie można lekceważyć tego, co jest niewidoczne dla oczu.

Odwrócił się od pola bitwy, na którym zaraz zacznie się przedstawienie w „znajdź kapitana Hooka” i ruszył w stronę pobliskiego lasu. Z kieszeni szarych, zupełnie nierzucających się w oczy spodni, wyciągnął niewielką flaszkę i podniósł ją pod słońce. Na jej dole lśniło jeszcze trochę złotego pyłu. Tyle będzie musiało wystarczyć.

Odkorkował buteleczkę i wysypał całą jej zawartość na ciemne włosy.

– Wierzę – powiedział cicho, starając się skupić na czymś przyjemnym i sprawiającym mu radość. Obraz jego statku zniknął tak szybko, jak się pojawił, i zamiast tego pod powiekami Jasa z morskiej wody wynurzyła się Tygrysia Lilia. Na samo wspomnienie zaparło mu dech w piersiach. A potem poczuł, że unosi się nad ziemią. Otworzył oczy.

Smee, będący teraz przynajmniej kilka stóp pod swoim kapitanem, stał z rozdziawionymi ustami. Hook uśmiechnął się, a potem odwrócił głowę i dosłownie wystrzelił prosto w górę. Ciemniejszą smugę na niebie zobaczyły tylko czujne, czarne oczy stojącej w dumnej pozie czerwonoskórej dziewczyny.

Nikomu nie powiedział o swoim planie. Tak było bezpieczniej przynajmniej z dwóch powodów. Nikt nie mógł go zdradzić, a poza tym warto było trzymać ludzi w

przeświadczeniu, że Jas stoczy męską bitwę. Gdyby komuś powiedział, że zamierza posypać się wrózkowym pyłem, skryć się wśród chmur i zakończyć wojnę, zanim ktokolwiek zdąży przelać krew przeciwnika, z pewnością by stwierdzili, że w końcu stracił rozum.

Plan wiązał się z pewnym ryzykiem, bo Jas nie wiedział, czy w ogóle zadziała. Jednak teraz, gdy szybował nad Doliną Totemów, bezpiecznie schowany w jasnych chmurach wiedział, że podjął słuszną decyzję. Królestwo wymagało zjednoczenia i nie chodziło tylko o ziemię, a przede wszystkim o mieszkających tu ludzi. Gdy obetnie się wężowi głowę, stracą jedyny powód, by dalej walczyć. Wrócą do swoich domów. A niektórzy, z czasem, do zamkowych lochów.

Jas usłyszał głos Petera. Jego brat wysokim, wibrującym wściekłością głosem krzychał:  
– ...czas dobiegł końca! To koniec! Koniec! Wybiła twoja godzina!!

James uznał, że wiadomość była skierowana do niego. I miał zamiar niedługo na nią odpowiedzieć. Bardzo niedługo.

Przeleciał jeszcze kawałek, rozkoszując się niesamowitym poczuciem wolności i swobody i delikatnie zniżył lot, zerkając przez białe pasma w dół. Był bliżej Petera, niż się spodziewał. Jeśli skręci kawałek w lewo, powinien znaleźć się idealnie nad młodym księciem, omijając kręcących się po okolicy żołnierzy.

Hook uśmiechnął się i dotknął ustami zimnego metalu swojego haka, którego świeżo zaostrzony czubek prawie lśnił w słońcu. Zatrzymał się w powietrzu, po czym zanurkował nogami w dół.

W dolinie nagle zaroilo się od biegających ludzi w czerwonych płaszczach. Gdyby Peter miał choć trochę rozumu i zaopatrzył się w lunetę – jeden z pierwszych przedmiotów, których nauczył się używać Jas na statku – zauważyłby, że między nimi znajdują się Michael, lekko posiniaczony John i Wendel. A co ważniejsze, że wśród wszystkich Jamesów nie ma tego właściwego.

Jeszcze sześć stóp... Trzy...

Jego piękny, jasnowłosy brat zaciskając pięści, rozglądał się dookoła. Nie wpadł tylko na jedno: by choć raz spojrzeć w górę.

Zero.

– Co do chole... – zaczął mówić, gdy książę James bezgłośnie opadł za nim na ziemię i jednym ruchem przeciągnął końcem haka po jasnej, doskonałej skórze arystokratycznej szyi. Krew trysnęła na trawę.

– Tik-tak – szepnął Hook do upadającego chłopca i wystrzelił w górę, zanim ktokolwiek zdążył zareagować.

\*\*\*

Od tego czasu minęły dwa miesiące. James teoretycznie z powrotem zamieszkał na zamku, gdzie była jego królewska siedziba, jednak większość czasu spędzał na nowiułtkim statku. „Jolly Roger”, bo tak teraz nazywała się główna jednostka królewskiej floty, stał się jego prawdziwym domem. Na brzeg James schodził tylko raz na tydzień, by rozsądzać w sali tronowej spory wśród mieszkańców wyspy. A także po to, by sądzić. Po lasach wciąż tułały się resztki Straconych Chłopców, jednak kiedy królewscy zwiadowcy odkryli ich główną kryjówkę w niewielkiej wiosce o radosnej nazwie Drzewo Wisielca, były to już wyłącznie co bardziej zdeterminowane jednostki. Wszelkie inne sprawy administracyjne, odpowiadanie na listy i prowadzenie ksiąg przeniósł na okręt, tworząc zaczątki dosyć zaawansowanej teraz ptasiej poczty lotniczej.

Co prawda sprzątanie deku stało się jednym z codziennych koszmarów dla załogi, ale klęli Hooka w żywy kamień tylko wtedy, gdy myśleli, że nie słyszy. No, przynajmniej przez większość czasu. Będzie musiał jakoś ten ptasi problem rozwiązać, zanim wszyscy nie zaczną się ślizgać na odchodach albo w końcu każą mu się przejść po desce. Chyba jednak powinien załatwiać sprawy królewskie na lądzie. Trudno będzie mu się jednak rozstać z załogą i statkiem...

Po co była mu ta cała walka o władzę? I o co, o przekonanie, urażoną dumę i twardego stołek w zimnej, kamiennej sali? Wiedział, że chodziło o ludzi w Nigdylandii, ale jednak, co on dostawał w zamian? Pełno obowiązków i niewiele przyjemności?

Westchnął ciężko.

Może powinien rzucić to wszystko w cholerę, zostać piratem i wyruszyć na poszukiwanie nowych, nieznanych krain?

Jeden z pocztowych ptaków wylądował na dachu przybudówki, po czym bez wahania zeskoczył na pokład i wszedł przez otwarte drzwi do kajuty kapitana. Była to wyjątkowo spasiona mewa.

– Mirabelka! – na twarzy króla Jamesa pojawił się szeroki uśmiech. Kapitan statku nawet nie sięgając po przyczepiony do jej nóżki list, zawołał przez okno:

– Smee, schodzimy na ląd! Tym razem na pewno uda nam się poskromić tych Indian! Zbierz ludzi! Porwiemy...

Z pokładu dało się słyszeć przekleństwa poprzedzone chóralnym:

– O nie, znowu?

KONIEC